

Eliksir nieśmiertelności

Zdanie „Ja umrę” nie jest ani prawdziwe, ani fałszywe – odnosi się do przyszłego stanu rzeczy. Doświadczenie potoczne uczy, że to inni umierają; my – nie



Zdanie „Ja umrę” nie jest ani prawdziwe, ani fałszywe – odnosi się do przyszłego stanu rzeczy. Doświadczenie potoczne uczy, że to inni umierają; my – nie

Zdanie „Ja umrę” nie jest ani prawdziwe, ani fałszywe – odnosi się do przyszłego stanu rzeczy. Doświadczenie potoczne uczy, że to inni umierają; my – nie. Dzisiejszy homo ludens rozważania o śmierci traktuje jako stratę czasu przeznaczanego na zabawę. O jej realności nauczył się nie myśleć.

Z całkiem innych powodów końca życia mają prawo nie obawiać się ludzie religijni. Ginią przecież rośliny i zwierzęta, ludzie tylko umierają i przechodzą do innego świata. Dlatego zdumiewają mnie terminalne lęki wielu katolików. Czy stosunek do śmierci nie jest najlepszym testem religijności? Czy wypiliby państwo eliksir nieśmiertelności? Innymi słowy: czy wybraliby państwo absolutnie pewne życie wieczne na ziemi, czy też wylali eliksir do zlewu, wybierając niepewność życia wiecznego w niebie? To nie nowa, zradykalizowana wersja zakładu Pascala.

Koncept eliksiru nieśmiertelności jest pomysłem skrajnie antychrześcijańskim i antybożym. Ów eliksir w ludzkiej historii był poszukiwany i jakoby znajdowany. Ma nawet swoją nazwę: *lapis philosophorum*. Kamień filozoficzny – tajemna substancja alchemików, którzy w laboratoriach postanowili odkryć prawdę absolutną. Bogu podobni.

Słynny francuski matematyk i filozof Laplace, zapytany przez Napoleona Bonaparte: „Dlaczego w pańskich pracach nic się nie mówi o Bogu?”, miał odpowiedzieć z dumą: „Sire, ta hipoteza nie była mi potrzebna”. Podobnie myśli wielu współczesnych uczonych poszukujących metod unieśmiertelnienia człowieka. Pewien biolog opowiadał mi, że wystarczy coś przestawić w DNA, aby nasz organizm permanentnie się reprodukował. Nasi sukcesorzy w nieskończoności mają zachowywać ciała dwudziestolatków, chociaż ich mózgi będą gromadziły wiedzę i doświadczenie. Dlatego my, ludzie dzisiaj żyjący, jesteśmy bytami hipertragicznymi. Jako jedni z ostatnich umrzemy. Bo najdalej za sto lat wszyscy będą już nieśmiertelni. – Jesteśmy jak żołnierz, który ginie w ostatniej minucie wojny. Co za pech – konkludował biolog.

Uczony ten zagubił jedną myśl. Jaką? Zauważmy, że we wszystkich filmach o tworzeniu golemów ich konstruktorzy w końcowej fazie, aby tchnąć życie w wyprodukowane ciało, doprowadzają do nich energię (np. w filmie ze Stingiem jest to piorun). A zatem twórcy tych filmów czują intuicyjnie, że kompletność materialna nie wystarczy, żeby żyć. Nie wystarczy mieć wszystkiego na swoim miejscu. Potrzebne jest jeszcze coś, co w tego rodzaju kinematografii naiwnie kojarzy się jej twórcom z prądem. Zatem przyjaciela – biologa pytam: jak owo „coś”, co chrześcijanie nazywają duszą, zmusić do działania poza czasowym dystansem wyznaczonym przez Boga?

Tej obserwacji nie poczynił umierający na raka Walt Disney, który kazał się zamrozić po śmierci (czy widzieli Państwo te diaboliczne, stalowe silosy z zamrożonymi zmarłymi multimilionerami?). Owszem, pewnie za jakieś sto lat superkomputer De-Terminator przywróci odmrożonemu ciału kompletność: wstawi wszystkie brakujące atomy w narządach zniszczonych przez chorobę i samo zamrożenie (woda, z

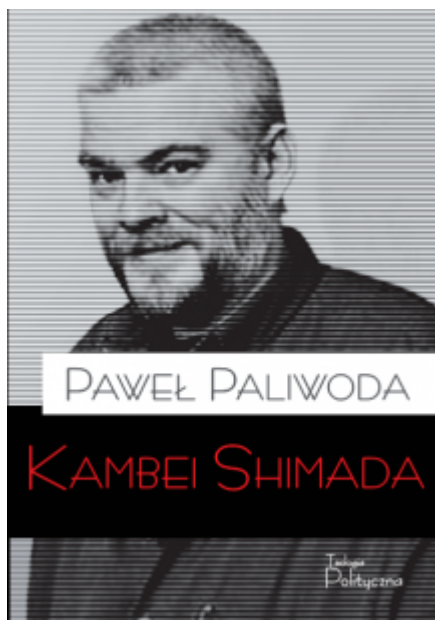
której składamy się w 95 proc., gdy zamarza, rozsadza komórki). Ale co potem? Wstanie i powie „Dzień dobry”? A jeżeli nie, to czy podłączy się ciało do piorunochronu? A jeśli nie, to co naukowcy mają w zanadrzu jako odpowiednik filmowego prądu elektrycznego? Nauka nie zna ani jednego przypadku, żeby udało się ożywić zwierzę. Z powyższych względów żaden superkonstruktor, jak się wydaje, nie może nas na zawołanie rozkładać i składać. Musiałby dysponować prawdziwie Bożą technologią. Walt Disney odszedł z tego świata definitywnie.

Wielu uczonych nie przejmuje się naocznym doświadczeniem mistyków ani pięcioma dowodami na istnienie Boga św. Tomasza z Akwinu. Tym bardziej chłop, który zważył duszę. Zważył umierającego krewniaka tuż przed śmiercią i tuż po śmierci. Odjemna minus odjemnik – dał wielkość różną od zera, a mieszkańcy podbeskidzkiej wsi upragnioną pewność teologiczną. Nikt z uczonych sceptyków na to nie wpadł (nie, nie na to, żeby zważyć duszę – na to, aby tak uporczywie poszukiwać Boga). I to jest błąd.

Gdy myślę o naszym odchodzeniu, często przypomina mi się ławeczka z Patriarszych Prudów, której realny pierwowzór stoi w Moskwie do dzisiaj. Jeśli wierzyć Bułhakowowi, o podobnych sprawach debatowało na niej kiedyś z szatanem dwóch moskwian. Żaden z nich nie wierzył w istnienie nieba. Szatan jednak wierzy w Boga. Więcej – zna Go. I Michał Aleksandrowicz Berlioz miał wkrótce zdobyć tę wiedzę. W ostatnim przeblysku świadomości jego głowa pomyślała: „A jednak!”. Jego młodszy towarzysz ganiał później ze świętym obrazkiem na piersiach. Takiej doznał iluminacji.

Tragiczne zdarzenia coś w nas zmieniają. Jednak ostateczny dowód na istnienie Boga zostanie nam zaprezentowany nie zbiorowo, lecz indywidualnie. „Każdemu będzie dane wedle jego wiary”. I nie trzeba będzie na to długo czekać. Dlatego warto żyć tak, jakby się miało umrzeć jutro.

Paweł Paliwoda



Tekst ukazał się w tomie "Kambei Shimada"